



Z KSIĘGOZBIORU  
BIBLIOTEKI GŁÓWNEJ  
WOJEWÓDZKIEJ  
BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ  
IM. ADAMA ASNYKA  
W KALISZU

WYKAZ

R(4)



35554

943.8.081 A/2

Kalisz

Broszura moja „Z czasów mojej prezydentury,” w której starałem się pokazać szerszemu ogółowi, na jakie szykany narażony jest człowiek, który nie służy klice jakiegś, lecz sprawie, wywołała burzę oburzenia ze strony p. Inspektora Pracy 14-go obwodu, oraz ze strony p. d-ra Koszutkiego, członka kaliskiej Rady miejskiej i Przewodniczącego miejskiej Komisji Oświeceniowej. Bardzo słusznie! Gdyż dziwiłoby się trzeba, gdyby panowie ci nie oburzali się, wyczytawszy w mojej broszurze słowa prawdy — tej prawdy, o której wszyscy mieszkańcy naszego miasta wiedzą, lecz poprostu nikomu się nie chce poruszać tych kwestji.

Pan Inspektor Pracy 14-go obwodu w liście otwartym, wystosowanym do mnie, napisał o tem, co myśli o mnie. Czytając ten list, podziwiałem nadzwyczajną naiwność, z jaką p. Inspektor przypuszcza, że ja mogę się przejmować takim lub owakiem zapatrywaniem p. Inspektora na mnie. Dla mnie p. Kowalik, jako taki, wcale nie istnieje. Mogę patrzeć na niego tylko jako na osobę, która przyszła, przechodzi i przejdzie, nie pozostawiając po sobie nic. Tak, jak przechodzi cała masa ludzi, zajmujących najrozmaitsze urzęda, które nikomu nie są potrzebne i które częściowo zakończyły lub zakończają swój żywot. A że zakończyć go muszą — najbliższe czasy to pokażą. Za biedni bowiem jesteśmy, jako państwo, ażebyśmy mogli utrzymywać tego rodzaju urzęda z takimi dygnitarzami. Wskaźnikiem, że tak

będzie, jest zastraszający wprost deficyt państwowy, wynikający z utrzymywania przez państwo nadmiaru różnych niepotrzebnych urzędów — urzędów, które nie tylko społeczeństwu nic nie dają, lecz, na odwrót, są wielką przeszkodą w rozwoju normalnego życia.

Zatem los p. Kowalika będzie taki sam, jak los innych przejściowych dygnitarzy.

Jeżeli zajmowałem się p. Inspektorem Pracy, to jedynie z prostego obowiązku, jako ówczesny prezydent i stały mieszkaniec m. Kalisza. Obowiązek ten nakazał mi, widząc najrozmaitsze sprawki i wybryki p. Inspektora, reagować na takowe. Dla tego też widząc działalność p. Inspektora Pracy, prowadzącą się do nielegalnego handlu towarami, jaki w owym czasie podlegał sekwestrowi, wymuszanie węgla od fabrykantów i dostarczanie tego węgla osobom trzecim, próby wymuszenia w Magistracie kaliskim drogą nielegalną paszportu dla swego znajomego, oraz wiele innych sprawek, podkopujących byt państwa, zmuszony byłem tak postąpić, ażeby osobą p. Inspektora zainteresować prokuraturę. Rezultatem tego jest, że sprawy p. Inspektora znajdują się obecnie w ręku p. Prokuratora. Jaki te sprawy obrót wezmą w sądzie, nie chcę z góry przesądzać, gdyż nie do mnie to należy. Uważam, że postępując tak, postąpiłem uczciwie, a że się to p. Inspektorowi nie podoba, jest to rzecz dla mnie całkiem zrozumiała.

To, że p. Inspektor w liście swoim zaprzecza wszystkiemu, jest również zrozumiałe. Toć i pierwszy lepszy przestępca, złapany na gorącym uczynku, zaprzecza popełnionemu przestępstwu.

Liczne gratulacje, jakie otrzymałem z powodu zajętego przezemnie w tej sprawie stanowiska, świadczą, że cały myślący po obywatelsku ogół naszego miasta jest za mną. I to mi wystarcza, ażeby przejść nad listem p. Kowalika do porządku dziennego!

Inna rzecz co do publikacji p. d-ra Koszutskiego, któremu, jako mieszkańcowi naszego miasta i człowiekowi pracującemu społecznie, pragnę poświęcić nieco czasu i wytlómaczyć niejedno w mojej broszurze, traktowane zbyt pobieżnie.

Przedewszystkiem, co do twierdzenia d-ra Koszutskiego, jakoby dowodził, że wszyscy mi przeszkadzali, sprawa przedstawia się trochę inaczej. Dałem charakterystykę stosunków i sposobów zwalczania mnie, jako prezydenta, przez tych właśnie, którym *ja przeszkadzałem*.

Przeszkadzałem zaś tym wszystkim, którzy:

Żądali synekur w postaci posad w instytucjach miejskich.

Przychodzili do mnie ze złodziejskimi propozycjami okradania miasta.

Żądali specjalnych świadczeń na swoją korzyść ze strony miasta.

Będąc na urzędach państwowych, robili z siebie kacyków i przedstawicieli samorządu chcieli traktować jako swoich pacholków.

I tym, którzy uważali, że prezydent winien zaspokajać każde ich żądania, nawet chociażby sprzeciwiało się prawu.

Jednym z tych, którzy mnie, dla celów ubocznych, zwalczali, był właśnie p. dr. K. Niestusne jest zatem twierdzenie p. d-ra, jakoby miał jakieś pretensje do całej Rady miejskiej. W Radzie miejskiej i w lewicy R. M. są ludzie, którzy nietylko mi w niczem nie przeszkadzali, lecz, naodwrot, robili wszystko, ażeby gospodarkę miejską pchnąć na zdrowe tory. Najlepszym tego dowodem, że z całym szeregiem członków R. M. utrzymuję ciągle jaknajprzyjaźniejsze stosunki. Tak, jak p. dr. K. te sprawy przedstawia, wygląda na to, jak gdyby o mnie chodziło. Tymczasem chodzi o gospodarkę miejską, o kojarzenie spraw miejskich ku dobru *wszystkich* mieszkańców miasta, a nietylko jednej grupy. Tymczasem

p. dr., gdy mowa o nim i o jego ujemnej działalności w Radzie, łączy swoją osobę z całą Radą miejską, starając się dowieść, że to, co się o nim mówi, dotyczy całej Rady. Otóż tak nie jest. Dr. K. to nie cała Rada M., a nawet nie cała lewica w R. M.! Twierdziłem, twierdzą i twierdzić będą, że p. dr. K. był i jest właśnie tym złym duchem K. R. M. Nie pozostanę gołosłownym. Ale o tem później.

P. dr. K. twierdzi, jakobym wylał w mojej broszurze potoki żółci. Również tak nie jest—gdyż napisałem o rzeczach, które miały miejsce, lecz ponieważ napisałem zbyt pobieżnie, przeto, jak to już zaznaczyłem, postaram się niejedno wyjaśnić.

Pana d-ra K. dziwi moje podziękowanie ludziom dobrej woli. Niech go to nie dziwi, gdyż bezinteresowny stosunek człowieka do człowieka wówczas, gdy inni starają się uniemożliwić mu zadanie, pozostaje nazawsze w pamięci. Pan dr. K. stara się ośmieszyć fakt otrzymania przezemnie pewnych adresów i upominków. Ja zaś tylko się tem chełpić mogę i życzę p. d-rowi, oraz jego najbliższemu, ażeby w taki sam sposób zakończyli swoje kariery na stanowiskach publicznych.

Pan dr. K., pisząc o popieraniu mnie przez Radę, twierdzi, że gdyby Rada nie uchwalała zaciągania milionowych pożyczek, to ja nie zdobyłbym rozgłosu, dla którego powinienem się poczuwać do wdzięczności dla Rady. Zatem nowość: Rada miejska uchwalała pożyczki celem popierania mnie, dla zdobycia rozgłosu! Sądzę, że z poglądem p. d-ra K. na tę sprawę nie zgodzą się pozostali członkowie Rady, bo tem samem wydaliby sobie świadectwo niedojrzałości do pracy nad gospodarką miejską.

I tak też nie jest! R. M. uchwalała i uchwała pożyczki li tylko ze względu na konieczność odbudowania miasta i bez względu na osobę prezydenta. Tu p. dr. K. zdradza właśnie swoje pojęcia w stosunku do spraw miejskich. Dla niego nie istnieją

zażądania gospodarki miejskiej, które należy wykonywać, dla niego istnieją popierania lub niepopierania prezydenta, prezydent zaś obowiązany jest do pewnych wdzięczności (wyraźnie mówiąc) tym radnym lub grupom, które go popierają. Otóż, jeżeli o to chodzi, to ja właśnie byłem tym niewdzięcznym prezydentem i w tem tkwi cała sprawa!

Mogę p. K. zapewnić, że uchwalając pożyczki, Rada tem samem popierała nie mnie, lecz mój program, wyrażający się w konieczności intensywnej odbudowy naszego miasta. Gdyby ten program odbudowy nie został przez Radę w swoim czasie przyjęty, to godziny bym na stanowisku prezydenta nie pozostał, gdyż nie umiałbym być prezydentem—urzędnikiem od załatwiania papierków.

Oдноśnie moich stosunków materialnych, oraz mojej pracy zawodowej p. dr. K. nie może i nie powinien nic mówić, bo tych spraw nie zna. Pisząc o tem, jakoby „Prosna” otrzymywała miejskie roboty i robiła doskonale interesy, p. dr. K., który tak ciągle podkreśla kłamstwa z mojej strony, powinien się być dobrze zastanowić. Przynajmniej w tym wypadku powinien był te roboty wyliczyć. *Otóż robót miejskich „Prosna” nie wykonywała!* Inżynierowi miejskiemu nakazałem wprost, ażeby „Prośnie” żadnych robót nie dawał. Był tylko jeden wypadek wykonania roboty miejskiej przez „Prosne.” Widząc, w jakim anti-sanitarnym stanie znajduje się szpital św. Trójcy, zwróciłem się do właścicieli firmy „Prosna”, z prośbą o zrobienie pewnej ofiary. Na skutek mej prośby „Prosna” wykonała w szpitalu św. Trójcy kanalizację i wodociąg za cenę równającą się połowie kosztów. W ten sposób szpital wiele zyskał na utrzymaniu czystości. Wówczas nic o tem nikomu nie mówiłem, gdyż nie chciałem, ażeby mnie nie posądzono, że w ten sposób chcę wzmocnić siebie na stanowisku prezydenta. Tembardziej, że są ludzie, którzy nigdy nie uwierzą w bezinteresowność. Skoro

już o tem mowa, zwracam się na tem miejscu do komisji finansowej miejskiej, ażeby zaważwała ekspertów-specjalistów, którzy orzekną, czy powiedziane przezemnie nie jest zgodne z prawdą.

„Prosna“ nietylko nie robiła doskonałych interesów, lecz, naodwrot, z racji mojej prezydentury, była skrępowana w swojej działalności.

Oдноśnie życia hulaszczego, o którym p. dr. K. wspomina, muszę p. D-rowi powiedzieć, iż umoralnianie ludzi jest rzeczą arcyzbawienną, lecz pod jednym warunkiem: należy, mianowicie, akcje umoralniania rozpocząć od samego siebie i swoich najbliższych. Radzę p. d-rowi K., ażeby uważniej wpatrzył się w siebie i w swoje bliskie otoczenie, albowiem apostoł, który zamyka oczy na to, co ma przed sobą, a stara się widzieć rzeczy oddalone, nie jest prawdziwym apostołem. Sądzę, iż jeżeli akcja umoralniania przez p. d-ra K. swego otoczenia, wyda błogie skutki, to wówczas, zapewne, i dalsi się nawrócą. Możliwe, iż i ja do tych ostatnich należeć będę...

Jednym z najpoważniejszych zarzutów, jakie mi p. dr. K. czyni, jest zarzut niezdania rachunków i nieotrzymania absolutorjum. Z tego zarzutu postaram się wytłómaczyć, ponieważ szerszy ogół mógłby przypuszczać, iż rzeczywiście tak było. Dymisję moją zgłosiłem na ręce p. prezesa Rady w styczniu, najpierw ustnie, a potem piśmiennie. Przez długi szereg tygodni czekałem na wybór mego następcy, a jeszcze przez dłuższy szereg tygodni na objęcie spraw przez następcę. Dlaczego tych spraw nie załatwiono i dlaczego nowy prezydent, aczkowiek wybrany znacznie wcześniej, dopiero w końcu kwietnia, czy też nawet w maju, w czasie mojej nieobecności, objął magistrat—ja nie wiem. Przypuszczam, że wie o tem p. dr. K. — możeby zechciał nam coś niecoś opowiedzieć.



Z mojej strony mogę powiedzieć następujące: Ponieważ chciałem dać możliwość mojemu następcy prędkiego wypełnienia tych wszystkich postulatów, które stale w Radzie wystawiał p. dr. K., a które to postulaty ja tylko w granicach możliwości mogłem wypełniać, postanowiłem jaknajprędzej ustąpić i w tym celu zwracałem się wielokrotnie do p. prezesa Rady z prośbą o prędsze zwolnienie mnie. Rozumiałem, że w takich razach ludzie zwykle się porozumiewają między sobą, odnośnie warunków zdawania i przyjmowania, oraz czasu. Tymczasem nikt zemną konkretnie o tych sprawach nie rozmawiał. Zaś na moje stale pytania, odnośnie tych spraw, nie otrzymywałem odpowiedzi. Jednym słowem, nie mogłem się dowiedzieć kiedy nastąpi dzień objęcia przez nowego prezydenta stanowiska. W końcu kwietnia lub na początku maja zachorowałem i zmuszony byłem kilka dni leżeć w łóżku. W tym właśnie czasie przyszedł woźny z Magistratu do mego mieszkania z wiadomością, że nowy p. prezydent przybył i przysłał po klucze od biurka. Klucze posłałem i przyszedłszy do zdrowia, natychmiast poszedłem do Magistratu, ofiarując gotowość do załatwienia wszelkich formalności, związanych ze zdawaniem urzędu. Otrzymałem wówczas od nowego prezydenta odpowiedź, że musi się wprzód *rozpatrzyć* w sytuacji i w razie potrzeby zwróci się do mnie. Czekałem zatem i czekam do dnia dzisiejszego! Mało tego, pragnąc być w porządku, pięciokrotnie zachodziłem później do Magistratu do p. prezydenta, przypominając mu o konieczności spisania protokołu przyjęcia przez niego spraw. Niezależnie od tego wielokrotnie zwracałem się telefonicznie, lecz bezskutecznie.

Zatem zarzut nie zdania przezemnie spraw jest nie na miejscu, gdyż—jak zaznaczyłem—do tej pory czekam i jestem gotów. Rozumiem bardzo p. dra K. i pojmuję dlaczego wszystko było tak urządzone, ażeby sprawy te powikłać! Następstwem tego były

robione próby postawienia na Radzie miejskiej sprawy pozostawienia przezemnie Magistratu w chaosie. Lecz próby te nie miały na Radzie miejskiej powodzenia.

Wiedziałem z góry, że tak będzie, wiedziałem, że będą czynione próby zdyskredytowania mojej działalności. Dlatego też musiałem się odpowiednio zabezpieczyć. Zwróciłem się zatem przed ustąpieniem do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Ministerstwa Robót Publicznych z prośbą o przysłanie do Kalisza specjalnych komisji dla zaopiniowania o całokształcie gospodarki miejskiej. Dwie takie komisje zbadały sprawy i opinie swoje stwierdziły protokularnie. A jakie to są opinie, najlepiej świadczy publiczne wypowiedzenie się o gospodarce mojej Dyrektora Departamentu Samorządowego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, p. d-ra R. Sikorskiego, na łamach kwartalnika naukowego p. t. „Ruch Prawniczy i Ekonomiczny,” organu Wydziału Prawno-Ekonomicznego Uniwersytetu Poznańskiego, Towarzystwa Przyjaciół Nauk i Tow. Prawniczego i Ekonomicznego (kwartał III, 1921 r., str. 640). Ciekawych odsyłam do tego czasopisma, którego jeden egzemplarz jest w mojem posiadaniu i którym na żądanie każdemu służę.

Zatem o jakimś niezdaniu przezemnie spraw mowy być nie może. Mieszkam stale w Kaliszu i na każde żądanie byłbym się stawiał do tych lub innych wyjaśnień. Dlaczego Rada nie udzieliła mi absolutorium i jak Rada to rozumie i od czego uzależnia, tego, doprawdy, wiedzieć nie mogę. Zaznaczam, że nikt z jakimkolwiek żądaniami do mnie się nie zwracał!

Odnosnie moich przekonań, o których p. dr. K. pisze, oraz o tem, kto z nas więcej bibuły przewiózł (naturalnie i jaką bibułę) na sobie i kto dłużej w więzieniu siedział i t. p., mówić nie będę, gdyż nie chcę się z p. d-rem K. licytować pod tym względem. Po-

wiem tylko jedno: moskale zesłali mnie do Irkucka, tak, jak zesylali tysiące innych rodaków podejrzanych o wrogi stosunek do rządu rosyjskiego, bez przedstawienia powodów i oskarżenia. Pan dr. K. twierdzi, że wie za co byłem zesłany. Czyżby czytał odnośne akta żandarmskie?

Nie wiedzieli nawet o tem ci ludzie, którzy robili starania celem uwolnienia mnie, jak np. p. Bukowiński, b. prezydent Kalisza, Franciszek Jaroszyński z Podola, mieszkający obecnie w Warszawie, książe Lwow, prezes ministrów po upadku caratu, którym to ludziom zawdzięczam następnie swoje uwolnienie.

Jako ujemną stronę mego pobytu na zesłaniu p. K. podaje, że byłem dyrektorem fabryki. Tak jest, byłem dyrektorem wielkiej fabryki w Irkucku i to tylko świadczy, że wszędzie umiem być pożytecznym człowiekiem.

O tem, kto zna osobiście p. Trockiego, kto panią Radkową, a kto z obecnych w Kaliszu był komisarzem w Bolszewji, będziemy mówić w niedalekiej przyszłości i sądzę, że dowiemy się jeszcze ciekawych rzeczy.

Oдноśnie aprowidowania ludności, to myli się p. dr. K., twierdząc, że ja wcale się aprowizacją nie zajmowałem. Techniczne wykonanie było w ręku jednego z p. ławników, ogólną zaś politykę aprowizacyjną prowadziłem ja, starając się o odpowiednie środki na ten cel, wyjednywując poważne przydziały od rządu dla Kalisza, oraz urabiając wogóle opinię o ciężkiem położeniu miast. Dowodem tego są zwoływane przezemnie zjazdy miast ziemi kaliskiej, oraz referat mój, wygłoszony w r. 1919 w Warszawie z powodzeniem na zjeździe przedstawicieli miast całej Polski. Zdaje się, że nawet p. dr. K. był na tym moim odczycie.

I w tym wypadku p. dr. K. się zagalopował! Już co do kupna, przy mojem jakoby poparciu, kilku

wagonów fasoli, to pozwoli p. dr. K., że tym razem użyję jego ulubionego zwrotu: jest to najordynarniejsze kłamstwo! Bardzo bym prosił p. D-ra, ażeby publicznie zechciał napisać, jakie to ja poparcie dawałem na kupno fasoli, którą potem włączano ludności! Nietylko o to proszę, lecz żądam tego! Już co do tego, to moi „najserdeczniejsi“ przyjaciele dawno by nieomieszkali zrobić użytku. Bądźcie spokojni—tej przyjemności mieć nie będziecie!

Pan dr. K. przypuszcza, że kandyduję na ministra, mogę go upewnić, że nigdy nie „kandydowałem“ na *żadne* stanowisko. W przeciwstawieniu do innych bliźnich, którzy drapią się do stanowisk, przy pomocy najrozmaitszych sztuczek, i trzymają się potem tych stanowisk rękami i nogami, ja szedłem zawsze tylko tam, gdzie byłem wołany i odchodziłem zawsze z chwilą, gdy zobaczyłem, że jestem tam niepotrzebny. W tem tkwi właśnie moja wyższość nad innymi!

Pan dr. K. pisząc o poziomie kulturalnym i o etyce, pozwoli, że i ja coś o kulturze i o etyce napiszę i o tem, jak ta etyka u p. d-ra K. wygląda.

Pan dr. K., jako przewodniczący komisji oświeceniowej, zamiast urabiać sprawy dla dobra miasta, urabiał takowe jedynie w tym kierunku, ażeby zrobić dyrektorem gazowni swego szwagra. Proszę nie myśleć, że to jest mój tylko pogląd na rzeczy. Tego zdania byli wszyscy obznajmieni z temi sprawami. Doszło do tego, że prezes komisji finansowej miejskiej był zmuszony powiedzieć to p. d-rowi K. prosto w oczy.

Zawdzięczając specjalnej polityce oświeceniowej, jaką prowadził p. dr. K., miasto poniosło wielomiljonowe straty. Był moment, że miasto mogło, zapłaciwszy stosunkowo małe odszkodowanie Tow. Augsburskiemu, rozwiązać raz na zawsze kontrakt z tym Tow. i przejąć gazownię, znajdującą się wówczas jeszcze w jakim takim stanie, na własność. Do-

dać muszę, że wówczas w gazowni był bardzo po-  
ważny zapas rur i łączników gazowych, które to ma-  
terjały byloby miasto otrzymało prawie darmo. P.  
dr. K. tak długo kręcił i wiercił, że do zgody z Tow.  
nie dopuścił, odmiennego zaś zdania ludzi podejrze-  
wał wprost, że są przekupieni. Stanowisko jego za-  
tem w tej sprawie wykluczało wszelką opozycję.

Koniecznien trzeba było przeprowadzić se-  
kwestr — dla uplasowania swego szwagra. Ponie-  
waż byłem na tyle niewdzięcznym, że oparłem się  
powtórnemu przyjęciu na dyrektora szwagra p. d-ra  
K., ściągnąłem tem gniew na siebie i to było przy-  
czyną bardzo poważnych powiktań.

Szerszy ogół może się i nie domyślać, co było  
powodem do opozycji mojej w stosunku do szwa-  
gra p. d-ra K. Otóż nic więcej, tylko wzgląd na  
kieszeń mieszkańców miasta. Bo gdy za czasów  
rządów szwagra p. d-ra K. w gazowni wyprodukowa-  
no 114 kub. metrów gazu na retortę dziennie, to  
przy drugim zarządzie wyprodukowano 128 kub. mtr.,  
mimo, że retorty były w coraz gorszym stanie; zgu-  
biono, względnie dano gratisowego gazu 21%, to  
przy drugim zarządzie tylko 11% ogólnej sumy ga-  
zu. Gorzej przedstawia się z koksem, bo gdy za  
pierwszego zarządu sprzedano 7% koksu w stosun-  
ku do zużytego węgla, to w drugim wypadku sprze-  
dano 41% koksu. Smoły zaś w tym samym stosun-  
ku w pierwszym wypadku sprzedano 1,4%, w dru-  
gim — 2,2%.

Aczkolwiek z różnych stron był czyniony na-  
cisk na mnie, a i personel robotniczy gazowni żądał  
kategorycznie, ażeby koniecznie dyrektorem gazowni  
był szwagier p. d-ra K., bo inaczej to robotnicy nie  
odpowiadają za wszystko... — byłem, jak to już za-  
znaczyłem, tym niewdzięcznikiem, który oparł się  
temu.

Że koniecznie pchano szwagra p. d-ra Koszut-  
skiego na stanowisko dyrektora gazowni, świadczy

najlepiej fakt skutecznienia tego zamiaru przez nowego prezydenta. Nie udało się to jednakże, gdyż fakt ten spotkał się z ostrą krytyką Rady, która stanowczo wypowiedziała się przeciw tego rodzaju familjarnemu załatwianiu kwestji. Praktyka życiowa zatem wykazała, że pogląd mój podzielała cała Rada miejska.

Rezultatem polityki oświatleniowej p. d-ra K. jest, że miasto ma obecnie proces z Tow. Augsburgskim, który kosztuje dużo pieniędzy i niewiadomo czem się skończy. Drugim rezultatem tej polityki jest, że miasto musi wydać *kilkudziesięcioniljonowe* sumy na remont gazowni, która przez cały czas nie mogła być remontowana. Bowiem p. dr. K., mając złość o swego szwagra, tak sprawy nakrecał, że cena za gaz była za moich czasów określona tak nisko, że wprost nie pokrywała kosztów produkcji i z tego względu nie było środków na remont. Mówiło się wówczas, że trzeba się liczyć z tem, że gaz jest artykułem pierwszej potrzeby dla ludności i że cena powinna być minimalna.

Jakże inaczej wygląda ta rzecz obecnie za nowego prezydenta. Obecnie cena za gaz została podniesiona bardzo znacznie. Były próby dalszego znacznego podnoszenia ceny, lecz spotkały się z protestem Rady miejskiej.

Mógłbym jeszcze coś niecoś powiedzieć o sprawach oświatleniowych, o polityce p. d-ra K. i o działalności na stanowisku dyrektora gazowni szwagra p. d-ra K., lecz te sprawy, dla braku miejsca, odkładam na później. Przypuszczam, że i to, co powiedziałem, wystarczy narazie.

Zawsze twierdziłem, że układ wewnętrzny Magistratu musi być taki, ażeby praca szła jednakowo, bez niepożądanych przerw, wywoływanych zmianami personelu kierowniczego. Zatem twierdziłem, że na czele wydziałów muszą stać urzędnicy-specjaliści, ławnicy zaś magistratu muszą się składać z obydw-

teli miejskich, t. j. z ludzi, obeznanych z potrzebami ludności. O ile kierownicy wydziałów są wykonawcami, o tyle ławnicy winni być organem nadzorczym. Każdy, kto zna sprawy miejskie, musi się z tym poglądem zgodzić. P. dr. K. od razu przeciwstawił się temu i jako osobistość wpływowa w Radzie, przeprowadził swoje zasady. Polegały te zasady na tem, że gdybyśmy stworzyli instytucje ławników, jako organ nadzorczy, to wówczas z natury rzeczy ławnicy ci byłiby skromnie wynagradzani.

Otóż to się właśnie nie podobało p. K., który był zdania, że ławnicy muszą być traktowani jako stali pracownicy Magistratu i muszą pobierać odpowiednie wynagrodzenie. W przeciwnym bowiem razie, według p. K., ławnikiem może być tylko człowiek dobrze sytuowany. Zasada ta miała ten fatalny skutek, że Magistrat, mając ławników-urzędników, był odseparowany od całego społeczeństwa i mieszkańcy miasta mieli całkiem słuszne pretensje o to, że nie mając swoich przedstawicieli w Magistracie, nie wiedzą wcale jakimi drogami gospodarka miejska idzie. Z tego też powodu Magistrat był narażony na ostre ataki ze strony pewnych grup ludności, pozbawionych możliwości orjentowania się w istotnym stanie rzeczy.

Uniemożliwiała to pracę w Magistracie. Chcąc przeto ratować sytuację, postanowiłem skorzystać z mających się odbyć wyborów na miejsce ustępującego ławnika p. Grossa. Istniała pewna tradycja w R. M., że jeden ławnik w Magistracie winien być od ludności żydowskiej, ponieważ jednakże radni żydzi nie mieli odpowiedniego kandydata, zwróciłem się przeto do Rady z prośbą, ażeby zechciała wybrać na ławnika jednego z przedstawicieli miejscowych obywateli. Wymieniłem przytem nazwisko. Wymieniając to nazwisko, miałem na myśli, że wreszcie w Magistracie będzie przedstawiciel właścicieli

nieruchomości—człowiek odpowiedzialny majątkowo. Rada miejska wyboru dokonała.

Tu następuje ciekawy moment, w jaki sposób zareagował na to p. dr. K. Otóż p. dr. K. zwrócił się wówczas do lewicy z żądaniem, ażeby przeszła w stosunku do mnie do *opozycji*, gdyż, według p. d-ra K., popełniłem zbrodnię wielką, wystawiając tego kandydata na ławnika, i nazwał tę kandydaturę *klasową*.

Ale w tym wypadku zdrowy rozsądek robotników polskich zwyciężył i projekt *opozycji* p. d-ra K. nie uzyskał poparcia. Oficjalnie nie byłem zwalczany, lecz za to po cichu p. dr. K. robił mi najrozmaitsze wstręty.

Aczkolwiek nowy ławnik miał objąć (i objął) sprawy gospodarowania majątkami miejskimi, jak: lasy, ziemie, parki i t. p. i musiał poświęcać tej pracy całe dni, skutkiem odpowiedniego nakręcenia spraw przez p. d-ra K. Rada miejska uchwaliła temu ławnikowi znacznie mniejszą pensję od innych ławników. Miało to na celu obrzydzenie mu pracy, jako *klasowemu* ławnikowi.

Ostatecznie nic by powiedzieć nie można było, o ile by p. dr. K. postępował w ten sposób i w innych wypadkach. Jakże inaczej te sprawy wyglądały później.

Powierzając temu ławnikowi lasy, miałem na myśli, że jednak powierzam takowe człowiekowi, osiadłemu na stałe w Kaliszu i majątkowo odpowiedzialnemu. Przypuszczam, że z moim poglądem zgodzi się każdy mieszkaniec miasta, któremu zależy, ażeby ludzie, stojący na czele pewnych interesów miejskich, dawali gwarancje odpowiedzialności. Sądzę, że w Kaliszu są godni i znani obywatele, którym można powierzyć chociażby gospodarkę lasami miejskimi.

Tymczasem po objęciu zarządu miasta przez nowego prezydenta na kierownika wydziału admi-



nistrowania majątkami miejskimi powołany został człowiek obcy, nikomu nieznanym.

Nie będę pisał o kwalifikacjach jednego i drugiego, lecz zapytam się tylko p. d-ra K. czy w przeciwstawieniu do pierwszego ten drugi nie mógł być podciągnięty pod pojęcie *klasowe*. A może ten drugi dawał większe gwarancje *moralne* i *materjalne*?

Wracając zaś do samej kwestji ławników, czemu p. dr. K. obecnie nie stosował swojej dawnej zasady, że ławnicy muszą być jednocześnie kierownikami wydziałów? Czemu p. dr. K., który mi robił ostre wymówki, że stawiając kandydaturę jednego z obywateli, pozbawiłem żydów możności mieć swego przedstawiciela w Magistracie, teraz, gdy była ku temu okazja, nie przeprowadził żyda ławnika?

Otóż nie czekając na odpowiedzi p. K., ja mu sam na to odpowiem: Wtenczas, gdy byłem prezydentem, podchwytywałem p. Dr. każdą, najbłabszą nawet rzecz, ażeby robić opozycję. Teraz zaś poznałem pana D-ra i jego etykę i kulturę. Rzeczy, które dawniej widział p. Dr. jako *czarne*, dziś są dla niego *areybiałe!*

Weźmy, dla przykładu, chociażby odbudowę Kalisza, przy której tysiące ludzi miało utrzymanie.

Akcja odbudowy miasta i związane z tem daniem pracy ludziom, napotykała na poważne trudności—głównie natury finansowej. Borykałem się z temi trudnościami, jak mogłem i umiałem, lecz, naturalnie, robiłem wszystko w granicach możliwości. Niemożliwych rzeczy robić nikt nie umie. Poseł Mystkowski, który stale i ciągle robił zabiegi i starania dla Kalisza, może poświadczyć, w jakich nieraz dziwnych okolicznościach spotykaliśmy się, całkiem nieoczekiwanie, w różnych urzędach. Pan dr. K. dobrze wiedział o tych trudnościach i dobrze wiedział o mojej dobrej woli. Pomimo to urzędował, od czasu do czasu, przedstawienia w Radzie. W obecności galerji p. dr. K. wszczynał debaty na temat odbudowy—



pouczając mnie, jak się trzeba starać o pieniądze na odbudowę, jak to trzeba wszystkim robotnikom dać pracę przy robotach miejskich i jak trzeba dobrze im płacić. Dyskusje, prowadzone z pewnym z góry ułożonym przez d-ra K. planem, miały ten skutek, że ogół robotniczy nabrał przekonania, że magistrat jest w stanie dać wszystkim pracę i zadowalniać wszelkie żądania robotników. Wszystko, jednakże, zależy jakoby od dobrej woli prezydenta. Zależy od tego, czy prezydent chce dać ludziom pracę, czy też chce ich zgłodzić.

Widziałem, że nie jestem w możności przeciwstawić się podobnej taktyce. Przy odbudowie miasta starałem się kojarzyć interesy różnych grup ludności, uwzględniając też interesy robotnika, lecz nie byłem w możności prowadzić odbudowy li tylko specjalnie dla interesów robotnika. Widziałem zatem, że wszelkie tłumaczenia z mojej strony nie odniosą żadnego skutku, gdyż cały krzyk p. d-ra K. nie miał na celu dobra tej grupy ludności, której się mieni być rzecznikiem, t. j. robotników, lecz miał na celu względy uboczne, natury więcej osobistej.

Nie miał p. dr. K. na celu dobra robotników, bo nie prowadził polityki w Radzie w kierunku ułatwienia robotnikowi przeżycia najcięższych bodaj czasów, lecz miał na celu użycie tego robotnika jako narzędzie, którym on, p. dr. K., może dowolnie operować.

To też widząc to wszystko, postanowiłem ustąpić, ażeby dać memu następcy możność przeprowadzenia na praktyce tych wszystkich postulatów, których przeprowadzenia stale p. dr. K. odemnie się domagał i o które mnie atakował.

Zasadniczo biorąc, postulaty te sprowadzały się do tego, ażeby dać wszystkim pracę i uwzględnić wszystkie żądania robotników, płacić za sztucznie wywoływane strejki na robotach miejskich i t. p. W jaki sposób obecnie te postulaty zostały zreali-

zowane, ja mówić nie będę, opowiedzą to p. d-rowski K. i innym panom całej rzeszy robotników głodnych, leżących na barłogach w brudnych izbach w Kaliszu, rzesze tych robotników, którzy jednak przedtem mieli, aczkolwiek skromny, ale zawsze kawałek chleba, pracując przy robotach nad odbudową miasta. To prędko nastąpi! Sądzę, że ja jeszcze dożyję tej chwili.

Pan dr. K. pyta mnie o moje przekonania, mówi o socjaliźmie, o P. P. S., sam jest jakoby rzecznikiem interesów robotnika. Otóż zapytuję się p. d-ra K. co on właściwie kiedy zrobił dla robotnika? Mogę stwierdzić z całą stanowczością, że p. dr. K. ani razu nie wystąpił na Radzie miejskiej z jakimś projektem, któryby miał na celu poprawienie warunków bytowania klasy robotniczej. Fakt—ani raz! Bo to, że p. dr. K. gardłował, że trzeba dać robotę robotnikowi, to mogę mu zareczyć, że samo gardłowanie by nie pomogło, gdyby w Polsce nie było ludzi, którzy wykonywują pracę twórczą—stwarzając odpowiednie warunki i możliwości, przy których robotnik właśnie może istnieć. Z krzyku p. d-ra K. robotnik nie ukroi kawałka chleba! Bo to, że p. dr. K. gardłował, że trzeba więcej płacić, to wszyscy o tem wiemy, lecz i tu gardłowanie nic nie pomoże, trzeba stworzyć odpowiednie warunki. Niech p. dr. K. nie myśli, że wystarczy z tryumfem przeprowadzić jakiś strejk, a robotnik będzie opływał we wszystko. Tak nie jest, znam np. obecnie jeden wypadek, że w jednej kaliskiej fabryce robotnicy przeciągnęli miarę, rezultatem tego fabrykant sprawadza maszynę i dwie trzecie robotników pozostawia w następstwie bez pracy. A przecież w dziedzinie polityki gospodarki miejskiej jest dużo spraw, przy których możnaby uwzględnić interesy robotniczej klasy, ale o tem z ust p. d-ra K. nigdy nic nie słyszeliśmy. Przeciwnie, wówczas, gdy trzeba było pilnie załatwić jakieś nagłe sprawy, jak np. w 1919

roku sprawę bezrobotnych, p. dr. K. słowa w komisji specjalnej nie umiał powiedzieć — i tak było zawsze!

Pan dr. K. ironizuje mój stosunek do sprawy robotniczej. Różnica, w stosunku do robotnika, pomiędzy mną a p. d-rem K. polega na tem, że wówczas, gdy moja działalność sprowadza się do tego, ażeby z robotnika zrobić równego wszystkim obywatela, człowieka samodzielnego, znającego swoje prawa i obowiązki, zainteresowanego w życiu zbiorowem *całego* społeczeństwa, to działalność p. d-ra K. polega na tem, ażeby tego robotnika trzymać jak najdalej od reszty społeczeństwa, izolować go, stwarzając kastę ludzi, którzyby, nie orjentując się i nie widząc swego własnego interesu, stale stali zdaleka i przeciwstawiali się interesom i sprawom *całego* społeczeństwa.

Jest to zupełnie jasne, bo wówczas, gdy ja idę do robotnika, nic od niego dla siebie nie żądając i dlatego też nie potrzebuję mu schlebiać, p. dr. K. musi temu robotnikowi ciągle schlebiać, gdyż żąda on od robotnika, ażeby go ciągle, jako rzecznika interesów swoich, wysuwał na wierzch. Bez tego wysuwania p. dr. K., jako jednostka, byłby w pracy społecznej niczem. Ale czasy konspiracji minęły, wojna już pokazała prawdziwą wartość poszczególnych ludzi, robotnik zaczyna przecierać oczy i widzi swoich przyjaciół bezinteresownych i widzi tych swoich pseudo przyjaciół, którzy, mając ciągle na ustach wielkie słowa ukochania sprawy robotniczej, wyjechawszy na barkach robotników na pewne stanowiska, myślą, przede wszystkim, tylko w pierwszej linii o sobie. Przykłady mamy takie bliskie, p. dr. K. je dobrze zna! Poczekajmy chwilę i robotnik się wypowie co myśli o tem! Nawet już zaczął się wypowiadać. Najpierw cicho, między sobą, ale echa chodzą już po świecie. Widzimy nawet pewne zewnętrzne objawy w postaci składania man-

datów. Kto wie, może zobaczymy jeszcze inne rzeczy.

P. dr. K. zarzuca mi kłamstwo na kłamstwie. To mało—kłamstwo trzeba umieć dowieść. Z mojej strony powiem tylko, że już opierając się na opisanych przezemnie faktach, działalność p. d-ra K. jest i była kłamstwem.

Pan dr. K. nazywa mnie megalomanem, otóż jeżeli o to chodzi, to nazwa ta całkiem pasuje do niego. Nie było bowiem kwestji w Radzie miejskiej, nawet specjalnej, o której p. dr. K. nie mówiłby bez zająknięcia. Ale co mówił—podziwialiśmy jego wszechwiedzę i wszechstronność. Dlatego też dawno już określiłem p. d-ra K. jako „pusty dzwon,” który dzwoni, a głosu nie wydaje. Nie znalazłem narazie innego określenia. Ale oto sam p. dr. K. przyszedł mi z pomocą, stawiając jako motto swego artykułu: „Krowa co dużo ryczy — mało mleka daje.” Nic trafniejszego, bo właśnie p. dr. K. był cały czas w Radzie tą krową dużo ryczącą, lecz mleka nie dawał, a jeżeli kiedy wydał z siebie kropelkę mleka; to i ta kropelka była zatruta jadem nienawiści społecznej, a zaprawiona interesami nic wspólnego z gospodarką miejską nie mającymi.

Pan dr. K. ma żal do mnie o to, że się wypowiadam, mówi o jakiejś polityce intryg z mojej strony. Tu muszę p. d-rowi K. powiedzieć, że specjalnie opuściłem stanowisko prezydenta i nie przyjąłem proponowanego mi niedawno stanowiska ławnika tylko po to, ażeby móżdż się wypowiadać. Mogłem polemizować z p. d-rem K. w R. M., lecz po prostu nie chciałem. Chyba to prawo wypowiadania się *niezależnych* obywateli w kwestjach, które ich obchodzą, p. dr. K. zechce łaskawie nam przyznać. Przecież czerzyczajek jeszcze nie mamy!

Pan dr. K. daje mi radę i szczerą radę, ażebym przestał raz na zawsze pisanie wspomnień i t. p. Chcę się p. d-rowi K. odwzajemnić również szczerą

radą: niech do pracy społecznej nie wprowadza spraw ubocznych, nic z tą pracą wspólnego nie mających, spraw, które wychodzą li tylko na dobro jednostkom, szkodzą zaś ogółowi, a wówczas nikt do niego nie będzie miał żadnej pretensji.

Niech mi p. dr. K. wierzy, że również pisałem i piszę z prawdziwą przykrością, lecz zmuszony byłem do tego prowokacyjną formą zwalczania mnie przez p. D-ra w Radzie miejskiej. Nie pisałem zaraz po ustąpieniu, gdyż chciałem się przekonać, czy będą spełnione te wszystkie postulaty, o które p. dr. K. walczył zemną. Mogę p. d-ra K. zapewnić, że gdyby tak się stało i postulaty te zostały przeprowadzone w życie — milczałbym, lecz ponieważ stało się inaczej, mogę śmiało mówić o tem, co było.

Kalisz, d. 8/II 22 r.





25  
Miejska Biblioteka Publiczna  
w Kaliszu

**I 035554 U**



001-035554-00-0